

SIXTEEN SOULS

ROSIE TALBOT

ALBATROS

Tytuł oryginału:
SIXTEEN SOULS

Copyright © Rosie Talbot 2022
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Robert Waliś 2023

Redakcja: Justyna Techmańska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Andrew Davis

Projekt mapy: Rosie Talbot

Opracowanie graficzne okładki polskiej: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



I

NAWIEDZENIE CHARLIEGO FRIŃHA

I o niedawno zmarli najbardziej mnie niepokoją. Starsze duchy nie są takie złe. Zawsze mają na sobie kamizele, obcisłe spodnie, gorsety albo szerokie suknie, więc łatwo ich uniknąć – wystarczy spuścić wzrok i założyć słuchawki, a nie zorientują się, że mogą je zobaczyć. Ale świeżo zmarli nie wyróżniają się wyglądem i właśnie to sprawia, że są tak niebezpieczni.

Nie włóczę się bez potrzeby po starej części Yorku, a już na pewno nie chodzę tam sam. Dzisiaj, gdy ostrożnie przemierzam The Shambles, towarzyszy mi Heather, a jej stetoskop zaplątuje się w żółtą smycz, na której wisi szpitalny identyfikator. Nie zmieniła się w ciągu sześciu lat, które upłynęły od jej śmierci: ma takie same potargane warkoczyki, ładną pulchną buzię i nosi szare spodnie z podwyższoną talią oraz wygniecioną koszulę z podwiniętymi rękawami, niezależnie od pogody. Papla swoim słodkim głosikiem, a ja niemal jej nie słucham, ale pozwalam, by jej słowa płynęły swobodnie. Nie zatrzymuję się i próbuję ukryć lekkie utykanie, które nie daje mi spokoju od czasu autobusu.

Protezy zaczęły mnie uwierać. Powinienem był założyć podwójne skarpety, ale wtedy gniazda stają się zbyt ciasne i pod koniec dnia jestem obolały. Teraz już nic na to nie poradzę. Nigdy nie zdejmuję dolnej części nóg w miejscach publicznych, zwłaszcza od czasu, gdy bliźniaczki dorwały się do nich i potraktowały je brokatowymi lakierami mamy. Teraz osłony mienia się na różowo i fioletowo.

Idziemy po bruku. Stare budynki o drewnianych konstrukcjach pochylają się, jakby walczyły o dostęp do światła dziennego. Mam wrażenie, że obie strony ulicy zbliżają się do siebie, jakby zakład jubilerski chciał wyszeptać jakiś sekret sklepikowi z krówkami. Nic tutaj nie jest równe, ani ściany, ani węgary, ani przysadziste drzwi, ani szyby w staroświeckich wiktoriańskich witrynach sklepowych. Nad niektórymi z nich widzę metalowe szyldy w kształcie ciast albo tarcz z kunsztownie zdobionymi metalowymi mocowaniami, dzięki którym trzymają się cegieł, polepy i drewna na ścianach nieczyszczonych od setek lat.

Historia wisi w powietrzu, jak smród, przed którym nie mogę uciec. Tutaj urodził się Guy Fawkes, tutaj powiesili Dicka Turpina, a święta Małgorzata Clitherow została zmiażdżona drzwiami własnego domu. Nic więc dziwnego, że duchów jest tu niemal tak dużo jak turystów.

Często słyszę, że mam starą duszę jak na szesnastolatka, ale to nieprawda. Nie jestem Starą Duszą. Szczerze mówiąc, staram się ich unikać.

Muszę ominąć ducha w obszytym futrem płaszczu, więc udaję nagle zainteresowanie wystawą śpioszków i kaftaników

dla niemowląt. Potem obracam się gwałtownie, jakby ktoś zawołał mnie po imieniu, tak że o mało nie wpada na mnie kobieta w krezie. W odróżnieniu od pozostałych żywych ludzi na ulicy byłbym dla niej równie realny jak ona dla mnie.

Taka jest cena widzenia zmarłych. Potrafią przechodzić przez ściany i przenikać przez żywych, ale ja jestem dla nich istotą z krwi i kości. Mogą mnie dotknąć. Mogą zrobić mi krzywdę. Potrafią być bardzo wymagający oraz niebezpieczni, jeśli ogarnie ich zbyt ni entuzjazm, a ja nie jestem w stanie im uciec, zanim poleje się krew.

Pieprzyć to.

Wolałbym pojechać autobusem do galerii handlowej Monk's Gate, gdzie posadzki są gładsze i nie ma tylu duchów, ale tutaj znajduje się sklep, który Heather koniecznie chce odwiedzić.

– Co sądzisz o zakładkach do książek z różnymi motywami? – Idzie pół kroku za mną i zachowuje się jak zagubiony duch, który rozpaczliwie próbuje się skomunikować z żyjącymi. Umarli nawiedzają ludzi równie często jak miejsca. W końcu nie mają zbyt wiele do roboty poza snuciem się i narzekaniem, nawet jeśli nie może ich usłyszeć nikt poza mną.

Nie odpowiadam na pytanie; rozmowa z duchem na tak nawiedzonej ulicy byłaby głupotą. Jeszcze przez chwilę trajkocze, wyliczając rozmaite pomysły na prezenty, a ja wciąż udaję, że nie zauważam zbłąkanych dusz, dopóki Heather nie milknie w połowie zdania. Wbrew sobie podążam wzrokiem za jej spojrzeniem i widzę chłopca, który opiera się o futrynę drzwi pobliskiego sklepu. To dziecko ze slumsów, z odmrożonymi

palcami, bez butów i z chudym jak szkielet ciałem owiniętym cuchnącymi szmatami.

Nie odzywa się we mnie szósty zmysł, nie czuję delikatnego stukania wewnątrz czaszki ani nie mam niepokojącego wrażenia, że w pobliżu czai się coś nie z tego świata. Takie doznania pojawiają się w książkach i filmach. Dziecko wygląda w moich oczach jak żywy człowiek, ale po chwili czyjeś sportowe buty przenikają przez nie, a ono częściowo blaknie.

Obmywa mnie fala lodowatego strachu. Heather zasłania mi chłopca i zagaduje mnie, tak że po chwili już nie słyszę bicia własnego serca.

Z trzech typów duchów: wolnych, uwięzanych i zapętlnych, najgorsze są te ostatnie. Zamknięte we wspomnieniu swojej śmierci, nie zdają sobie sprawy, że nie żyją, i istnieją poza naszą czasoprzestrzenią, we własnej bańce. Ale czasami ich rzeczywistość przesącza się do naszego świata, a to dla mnie zła wiadomość.

Odwracam się, poczucie winy ściska mi serce.

Muszę pamiętać, co jest rzeczywiste.

Potykam się o krawężnik i niemal upadam. Heather chwytam mnie za rękę i podtrzymuje, zataczając się w głąb brukowanego przejścia między budynkami. Rozglądam się po ulicy, mając nadzieję, że nikt nie zauważył, jak właśnie oszukałem grawitację. Kiedy widzę, że wśród umarłych nie zapanowało nagle poruszenie, wypuszczam powietrze z płuc.

– W porządku? – pyta Heather.

Kiwam głową, najdelikatniej, jak jestem w stanie, a ona

puszcza moją rękę, choć wciąż ma mocno zaciśnięte usta i zatroskaną minę.

Musimy bardziej uważać.

Przestępuję z nogi na nogę i przeglądam się w ciemnym oknie sklepu z podarunkami, który zamknięto z powodu remontu. Heather stoi tuż obok, ale widzę tylko siebie. Umarli nie mają odbić. Wyglądam jak kawał łobuza – kwadratowa twarz, pękaty nos, barczyste i muskularne ciało o grubych kościach – zupełnie jak mój tata.

Powoli ruszamy dalej. Rozpoznaję sklep, gdy tylko dostrzegam książkę i pióro nad wejściem. Mimo że czuję się nie-swojo, szeroko się uśmiecham.

Wewnątrz zielone ściany i regały są wypełnione najróżniejszymi towarami, od gier planszowych i wyszukanej papieterii po kolekcjonerskie repliki Jedynego Pierścienia i kija baseballowego Harley Quinn. Sklep jest zatłoczony i zagracony, ale Heather potrafi poruszać się między ludźmi w taki sposób, by nikt przez nią nie przenikał. Nieśpiesznie oglądamy asortyment, ale muszę przez cały czas pamiętać o tym, by się nie zdradzić. Łatwo jest zapomnieć, że nikt inny jej nie widzi ani nie słyszy.

– Charlie, nie odwracaj się – dobiega mnie żeński głos, ale to nie Heather. Ta kobieta mówi z wyszukany akcentem, jakby długo nad nim pracowała. – Masz ogon.

Powoli się obracam, dumny ze swojej samokontroli, i staję oko w oko z blondynką po trzydziestce, która tkwi między ubranymi w suknie manekinami na środku sklepu. Sznur naturalnych pereł, krój sukienki i starannie upięte loki

sprawiają, że Audrey Nightingale wygląda jak na zdjęciu z lat czterdziestych. Jak z obrazka.

Zaciska usta.

– Mówiłam, żebyś się nie odwracał.

– Co tutaj robisz, Nightingale? – pyta Heather, krzyżując ręce na piersiach.

– Uważam na naszego chłopca, rzecz jasna. – Audrey omija młodą parę robiącą selfie, ponownie wbija we mnie wzrok i sięga po zabawkowego trzygłowego psa, którego trzymam w dłoniach.

Szybko uciekam spojrzeniem. Jak w przypadku wszystkich duchów, jej ręka przenika ciała stałe. Zawsze, kiedy to widzę, mam dreszcze. Chociaż Audrey nie znosi moich zasad, zazwyczaj ich przestrzega, więc dziś musi być w paskudnym nastroju.

– Mam sobie pójść czy chcesz się dowiedzieć, kto cię śledzi? – Moja mina zapewne wystarczy za odpowiedź, ponieważ dodaje: – Na zewnątrz, ciemne włosy, zielona kurtka.

Heather udaje, że ogląda repliki mieczy, ale tak naprawdę chce przyjrzeć się naszemu ogonowi.

– Jesteś pewna?

– O tak. Uważa, że jest bardzo subtelny.

Ostre wiosenne słońce oświetla twarz za szybą. Odwracam się w tej samej chwili co on. Mój rówieśnik, może o rok czy dwa młodszy, ale ubrany, jakby udawał starszego – w chinosa, sweter robiony ścięciem warkoczowym i nową woskowaną kurtkę.

Nie wątpię, że mnie śledzi. Audrey rzadko się myli. Oglądam się. On również ryzykuje kolejne spojrzenie na naszą

trójkę, na chwilę zatrzymuje wzrok na Audrey, a następnie wchodzi do sklepu naprzeciwko.

Jeśli widzi Heather i Audrey, to znaczy, że jest duchem. Sądząc po ciuchach, odszedł niedawno. Może chce, żebym skontaktował się z jego bliskimi i przekazał im wiadomość, czego nigdy nie robię. Nie jestem chłopcem na posyłki dla umarłych.

Doświadczenie podpowiada mi, że się mylę. Po pierwsze, chłopak nie sprawia wrażenia uradowanego tym, że ktoś jest w stanie go zobaczyć. Po drugie, wyraz twarzy Audrey – jej poważna mina i czujny wzrok – przyprawia mnie o dreszcze.

Audrey zerka na ulicę.

– Musisz stąd wyjść.

Znów dostrzegam u niej cień lęku. Stara się to ukryć, ale wyraźnie się boi, a niełatwo ją przestraszyć. Możliwe, że mamy do czynienia z Wygłodniałym, duchem, który uważa, że posmakowanie ciała i krwi medium przywróci go do życia.

Boże. To ostatnie, czego potrzebuję.

– Widział nas razem – mówi Heather bardziej piskliwie niż zwykle. – Powinniśmy się rozdzielić.

– Spotkajmy się na przystanku autobusowym, dobrze? – rzucam szeptem.

Niechętnie kiwa głową, posyła surowe spojrzenie Audrey, ściska moją dłoń i odchodzi. Sklepikarz patrzy na mnie podejrzliwie, co jest dosyć zabawne, zważywszy na to, że sam ma na sobie skórzany ubiór Dothraków. Podchodzę do kasy, po drodze biorąc ze stojaka papier do pakowania, i pośpiesznie płacę za zabawkowego psa.

Co mam zrobić, żeby Woskowana Kurtka za mną nie poszedł?

– Wyjdźmy tyłem – szepcze Audrey i wskazuje mi drogę do składziku. – Kod to cztery-pięć-trzy-jeden-igrek.

– Skąd wiesz?

– Co wiem? – pyta gość przy kasie, zakładając, że mówię do niego.

– Och... – Czuję, że czerwienieją mi policzki. – Nic, nic.

Wciskam zabawkę do plecaka, a sprzedawca zwija papier do pakowania w rulon. Trzymam go jak miecz, gdy kieruję się na tyły sklepu do drzwi z napisem *Wstęp wzbroniony, nie licząc spraw imprezowych*.

Od potu mam śliskie palce, ale udaje mi się wpisać kod i otworzyć drzwi bez nerwowego oglądania się przez ramię.

Audrey czeka na mnie po drugiej stronie.

– Idź szybko, ale nie za szybko – poucza. – Głowa do góry, jakbyś był u siebie.

Pośpiesznie mijam półki pełne towarów i wstrzymuję oddech, gdy słyszę czyjś głos dobiegający z niewielkiego aneksu kuchennego. Przygotowuję się na konfrontację z rozwścieczonym pracownikiem, który spyta, co tutaj robię, ale bez przeszkód docieram do wyjścia ewakuacyjnego.

– Drzwi uruchomią alarm – ostrzega Audrey.

Krzywię się, kładę dłonie na dźwigni i mocno naciskam.

Po chwili pośpiesznie przemierzam targ, wciąż słysząc dzwonienie w uszach. Potrzebuję kwadransa, żeby wrócić do centrum. Idę na północ w cieniu katedry, bo wokół Clifford's Tower kręci się zbyt wielu niespokojnych umarłych. Szalonej

Alicji nie ma w jej uliczce, więc przemykam przez Lund Court do Swinegate, ledwie unikając zderzenia z przewodnikiem w cylindrze i jego grupą ochoczych łowców duchów.

Zaczynam kuleć, kiedy przekraczam rzekę przy Memorial Gardens i idę wzdłuż muru starego miasta w stronę dworca kolejowego. Gdy w końcu zatrzymuję się, by odetchnąć, Audrey już przy mnie nie ma. Jestem sam. Nikt za mną nie podąża. Wkładam do ust gumę do żucia, żeby pozbyć się posmaku lęku.

Heather opiera się o przystanek i obserwuje mnie, kiedy szukam biletu w kieszeniach puchowej kurtki. Boli mnie lewy kikut. Kiedy tylko wsiądę, będę musiał zdjąć protezy. Chcąc złagodzić ból, siadam na metalowej ławce i opieram plecy o szklaną wiatę. Heather siada obok mnie, a ponieważ w pobliżu nie ma nikogo, lekko się do niej nachylam.

Wracam myślami do chłopaka, który wciąż na nowo umiera na zimnie. Chciałbym mu pomóc, ale ostatnim razem...

Nie, nie mogę myśleć o ostatnim razie.

Trzymając rolkę papieru pod pachą, wyciągam zabawkę z plecaka. Nagle zaczynam się martwić, że dokonałem błędnego wyboru.

Odwracam się do Heather.

– Myślisz, że mu się spodoba?

– Będzie zachwycony. – Słyszę w jej głosie napięcie, jakby czegoś mi nie mówiła, ale nie mam siły drażnić.

Pojawia się nasz autobus, tylko w połowie wypełniony, dzięki czemu będziemy mogli pojechać do domu razem. Ulga

dodaje mi energii. Wstajemy. Autobus się zatrzymuje, a ja pokazuję bilet znudzonemu kierowcy. Prawie na niego nie patrzy, ale ożywia się, kiedy spostrzega zabawkowego psa.

– Kupiłem takiego synowi pod choinkę. To strażnik podziemnego świata.

Kiwam głową z uśmiechem.

Heather i ja siadamy przy oknie z przodu, dzięki czemu mogę się rozprostować. Kiedy autobus rusza, zauważam jakąś postać, która patrzy w naszą stronę spod muru naprzeciwko dworca. Woskowana Kurtka musi być pewny siebie, skoro stoi w pełnym słońcu. Zupełnie jakby chciał, bym wiedział, że tam jest. Heather go nie zauważyła. To dobrze, tylko by się zmartwiła.

Nagle gwałtownie się prostuję, bo w mojej głowie pojawia się mroząca krew w żyłach myśli.

On mnie nie śledził; Audrey by go zauważyła. A zatem wiedział, dokąd idę. Dotarł tutaj pierwszy i czekał.

Szarpnięcie w żołądku, które czuję, nie ma nic wspólnego z dudnieniem i wyciem silnika. Autobus jedzie Queen Street i skręca w Blossom. To nie szósty zmysł, ale mam wrażenie, że moje kości stały się cięższe, a w czaszce czuję pulsowanie, jakbym bronił się przed odpowiedzią na pytanie, którego nigdy nie chciałem usłyszeć.

Po raz pierwszy od dawna czuję się nawiedzony.

2

PRZYJAZNE DUCHY Z SAŚIEDZTWA

I am, gdzie mieszkamy, jest mniej duchów, ale też można je spotkać – snują się alejkami lokalnego sklepu budowlanego, z sentymentu stoją w kolejce po frytki albo krążą po dzielnicy willowej, narzekając na stan swoich drogocennych róż.

– Oni mają to gdzieś, chłopcze! – krzyczy pan Broomwood, a poły jego szlafroka ciągną się za nim, gdy przechodzi przez ulicę i idzie w naszą stronę. Jego twarz składa się niemal wyłącznie z brwi i zmarszczek nad opadającymi ustami. – Na mszyce wystarczy zwykła woda z mydłem, ale oni zostawiają kubły na ulicy przez kilka dni po odjeździe śmieciarki. Kilka dni! To był mój dom przez czterdzieści lat, a ci lokatorzy od Davida wcale go nie szanują, ani trochę. Wystarczyłby list, nawet anonimowy...

– To nie moja sprawa, panie Broomwood – protestuję, jak niemal każdego dnia od jego śmierci w październiku zeszłego roku.

– Więc czyja, co? – Staruszek się nadyma i macha na mnie palcem, jakbym był niegrzecznym szczeniakiem albo

jednym z radnych. – Jeśli możesz naprawić jakieś zło, staje się to twoim obowiązkiem.

Wkładam ręce do kieszeni. Jest wiosna, ale w powietrzu czuć chłód.

– Wyszedłbym na dziwaka.

– Jakie to ma znaczenie? Zawsze byłeś dziwnym chłopcem.

– A jakie znaczenie mają pana róże?

W bungalowie naprzeciwko poruszają się franki. Pani Ginty zapewne zastanawia się, dlaczego chłopak Frithów znów kłóci się sam ze sobą na chodniku.

– Odmówił, więc daj mu spokój. – Heather bierze mnie pod rękę i zostawiamy pana Broomwooda za sobą.

Nie zawsze ich widziałem. Moje wczesne dzieciństwo było szczęśliwie wolne od widm, dopóki nie zachorowałem w wieku dziewięciu lat. Zapalenie opon mózgowych miało szybki i gwałtowny przebieg i kosztowało mnie utratę obu nóg pod kolanami. Potem mnie zabiło. Lekarzom udało się przywrócić mnie do życia, co według mojej babci było cudem Bożym.

Świat, do którego wróciłem, był znacznie bardziej zatłoczony niż ten, który opuściłem.

Taksówka taty stoi na podjeździe. W domu pali się światło, a ja wciągam w nozdrza znajomy zapach. Buty i płaszcze przy drzwiach, rysy od wózka inwalidzkiego i odkurzaczka na podłodze w przedpokoju, plama na suficie – pamiątka po tym, jak tata próbował sam załatać pękniętą rurę – niebieska wykładzina, wytarta na środku, ale wciąż gruba na obrzeżach.

Mama woła, że mój podwieczorek grzeje się w piekarniku. Gra telewizor i słyszę, jak ustawiona kłótnia w studiu osiąga

punkt kulminacyjny, a czajnik wyje, zachęcając do zaparzenia herbaty w przerwie na reklamę.

– Cześć! – wołam i idę do swojego pokoju.

Kiedy tylko wchodzę do środka, Dante, duch collie, unosi uszy, a ja pośpiesznie go drapię. Jego radosny pisk niemal wystarczy, bym ucieszył się, że mogę dotykać zmarłych.

Chudy rudowłosy dzieciak siedzi ze skrzyżowanymi nogami na moim łóżku. Kiedy się poznaliśmy, wyglądaliśmy jak rówieśnicy, ale ja dorastam, a Ollie zawsze będzie jedenastolatkiem. Mój własny Piotruś Pan.

Pokazuje kserówki przychepione do ścian.

– Gdzie byłeś? Przeczytałem to wszystko dwa razy.

– Zobaczysz, staruszkule – odpowiada Heather.

Chcę od razu dać mu prezent, ale muszę się przenieść na wózek. To jak zmiana uwierających butów na wygodne kapcie. Podwijam spodnie od dresu, odpinam zapięcia łączące silikonowe wkładki z gniazdami i kolejno zdejmuję obie protezy, a po nich wkładki i skarpety. Ollie wciąga powietrze, a Heather się krzywi. Skóra w kilku miejscach jest podrażniona. Solidnie się spocilem, więc czuję pieczenie.

Wsuwam się na swój wózek – ultralekki, z niskim oparciem i bez rączek. Ten pokój kiedyś należał do mojej babci i ma dużą łazienkę. Potrzebuję kilku minut, żeby się umyć i opatrzeć otarcia gazą. Potem szoruję wkładki i wieszam je, by wyschły.

Kiedy wjeżdżam do pokoju, Ollie gawędzi z Heather o najnowszym komiksie na ścianie. W bibliotece skserowałem *Hellboya. Prawą rękę zniszczenia* i przypinałem poszczególne strony do ściany jak scenorys, żeby chłopak miał co czytać

po moim wyjściu, chociaż podejrzewam, że przez większość dnia nawiedzał sale wykładowe na uniwerku. Za życia nie miał wielu okazji do nauki, więc nadrabia zaległości po śmierci.

Większa część mojego pokoju jest poświęcona jego pasjom. Półki nad biurkiem to miejsce kultu naszych ulubionych Avengersów: Thora, którego uwielbia Ollie, i mojego faworyta Spider-Mana. Heather nie zdradza swoich preferencji, ale obaj jesteśmy przekonani, że ma słabość do Scarlet Witch. Na wszystkie wolne miejsca na ścianach trafiają stale zmieniające się kolaże powieści graficznych, komiksów i książek.

Ollie ostatnio wciągnął się w starożytnych klasyków: Homera, Eurypidesa i Owidiusza. Panie w lokalnej bibliotece mają mnie za intelektualistę. Mama mówi, że przy takiej liczbie książek, jaką wypożyczam co tydzień, powinienem mieć dużo lepsze stopnie. Kiedyś całkiem dobrze sobie radziłem, gdy Ollie chodził ze mną do szkoły i szeptał mi odpowiedzi do ucha. Nauczyciele przypisują mój nagły kryzys w nauce przeżytej traumie, a ja nie wyprowadzam ich z błędu. Tak naprawdę bez Olliego jestem zwykłym przeciętniakiem. Lubię opowieści, ale wolno czytam, a gdybym nie musiał mu przewracać kartek, nie skończyłbym żadnej z książek, które każe mi przynosić do domu.

Wyjmuję z plecaka prezent i podaję mu go. Jestem zadowolony z tego, jak go zapakowałem, zwłaszcza że robiłem to w autobusie.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy śmierci, starszku.

Ollie się szczyrzy.

- Nie musiałeś niczego mi kupować.
- Chcieliśmy coś ci dać – odpowiada Heather.

Ollie był zbyt chory, by zapamiętać cokolwiek z dnia swojej śmierci, nie licząc tego, że był to wyjątkowo zimny dzień jak na wiosnę. W zeszłym roku zajrzałem do akt i go znalazłem: Oliver John Shuttleworth, zmarły jedenastego kwietnia na gripę. Wtedy postanowiłem, że będziemy obchodzić tę rocznicę.

Zrobiłbym to samo dla Heather, ale ona wołałaby zapomnieć, co ją spotkało.

Ollie wygląda, jakby za chwilę miał pęknąć.

- Odpakuj wreszcie.

Ostrożnie rozdieram papier zgodnie z jego instrukcjami, najpierw na rogu, potem wzdłuż łączeń. Kiedy naszym oczom ukazuje się trzygłowy pies, Ollie radośnie szczerzy zęby.

– Cerber! Stary, ale czad, dzięki! Wiedziałeś, że u Hezjoda miał pięćdziesiąt głów, a nie trzy?

Nagle czuję, że moja wyprawa na The Shambles, pieczenie podrażnionej skóry, a nawet wpadnięcie na Wygłodniałego były tego warte.

Dante trąca moją dłoń, przypominając mi, że ma ochotę wyjść i poszczekać na wiewiórki.

- Wyprowadzę go – proponuje Heather.

Tak pewnie będzie najlepiej. Nie mam żadnej dobrej wymówki na wieczorną włóczęgę.

Heather czeka, aż otworzę drzwi, w przeciwnym razie będzie musiała wyjść przez ścianę, a to wbrew jednej z moich zasad.

Zasada numer jeden: żadnego przenikania przez stałe

obiekty, ściany i żywo płoty.

Zasada numer dwa: żadnego unoszenia się w powietrzu ani łamania prawa powszechnego ciężenia w inny sposób.

Zasada numer trzy: żadnego znikania ani pojawiania się znikąd.

Odprowadzając Heather i Dantego do drzwi wyjściowych, zaglądam do pokoju bliźniaczek. Poppy, zwinięta pod kocem z królową Elszą, macha do mnie nieprzytomnie. Lorna na chwilę podnosi wzrok znad książki i mówi, że śmierdzą, jakbym puścił bąka. Dzieli postanie z naszą kuzynką Danielle. Chłopcy, Anton i Jamie, leżą na wysuwanym łóżku. Witają mnie odgłosami pierdnieć. Czasami czuję się taki osamotniony za sprawą dziesięcioletniej różnicy wieku między mną a pozostałymi dziećmi w rodzinie.

Skoro to straszliwe trio nocuje u nas w środku tygodnia, to znaczy, że ciocia Chrissie źle znosi chemię. Wszyscy lubią narzekać na pecha prześladowającego naszą rodzinę – moje zapalenie opon mózgowych, potem niespodziewana śmierć babci, a teraz choroba Chrissie. Ale jednocześnie mówią różne głupie rzeczy, na przykład: „Nic nie dzieje się bez przyczyny” albo: „Jeśli już zachorować na raka, to właśnie na takiego”. Co można na to odpowiedzieć?

Po cichu wypuszczam Heather i Dantego z domu. Kiedy wracam do środka, mama patrzy na mnie bezmyślnym, rozmarzonym wzrokiem zarezerwowanym dla ludzi, których kocha.

– Późno wróciłeś.

Nie lubię odwzajemniać spojrzenia, kiedy ją okłamuję,

więc otwieram piekarnik i wyjmuję podwieczerek: zapiekan-
kę z mięsem mielonym i ziemniakami, groszek i marchewkę.

– Byłem w bibliotece.

– Cieszę się, że poważnie podchodzisz do egzaminów. –
Podaje mi sztucce, a ja podjeżdżam wózkiem do stołu. Wiem,
że zauważyła świeży opatrunek. – Jeśli protezy cię ocierają,
używaj wózka poza domem.

Odpowiadam, że tak zrobię, chociaż to nieprawda. Mój wó-
zek jest wygodny, zwrotny i dopisało mi szczęście, że go mam,
ale nienawidzę, gdy ludzie gapią się na mnie, ignorują mnie
albo pytają osobę, która mi towarzyszy, co mi się stało, jakbym
nie mógł sam odpowiedzieć. Protezy pomagają mi wtopić się
w tłum, tylko nie mogę nosić ich zbyt długo. Za pięć dni idę
na kolejne badanie i dostanę nowe gniazda. Może pomogą mi
uniknąć podrażnień, chociaż nie mam wielkich nadziei.

Mama opiera się o blat i trajkocze, podczas gdy ja zaja-
dam podwieczerek. Beżowe linoleum, żółte ściany i żyrandole
nie zmieniły się od czasu, gdy mieszkała tu babcia. Kiedy się
wprowadziliśmy, zastanawiałem się, czy będzie na mnie czekał
jej duch, ale w domu panowała cisza.

Ollie stoi w progu i słucha plotek mamy. Patrzą mi w
oczy i uśmiecham się. Mama lekko blednie i podąża za moim
wzrokiem, ale powstrzymuje się od komentarza.

Głupio. Nieostrożnie. Mama dostrzega wszystkie moje
słabości, niezależnie od tego, jak bardzo staram się je ukryć.
A muszę je ukrywać, zwłaszcza przed nią. W salonie dosko-
nale odgrywa swoją rolę – efektowna fryzura, pomalowane
paznokcie, uśmiechy i chichoty. Ale ma w domu trójkę dzieci,

chorą siostrę i za mało czasu oraz pieniędzy.

Po podwieczorku proponuję, że wyniosę śmieci, a mama dziękuje mi sprzed telewizora, gdzie stoi przed górą ciuchów do prasowania.

Wkładając worek do kubła na kółkach, rozglądam się po naszej ślepej uliczce, wypatrując Woskowej Kurtki. Pan Broomwood już sobie poszedł, zapewne nęka lokatorów wnuka.

– Nie ma go tutaj.

Obracam się na wózku, cały spięty, ale to tylko Audrey kręci się obok domu.

– Sprawdzalam w okolicy. Nie poszedł za tobą.

– Dobrze. Kim on jest?

– Kimś, od kogo powinieneś się trzymać jak najdalej.

– A więc to Wygłodniały?

Audrey waha się przez chwilę.

– Utrzymam go z dala od ciebie, tylko bądź ostrożny.

Wciąż się boi; chowa to głęboko w sobie, ale nauczyła mnie czytać z ludzkich twarzy, więc nie jest w stanie tego przede mną ukryć.

– Boisz się go.

Posyła mi lodowate spojrzenie.

– Pamiętaj, żeby Ollie został dziś z tobą.

– Czego mi nie mówisz?

– Nie jesteś gotowy.

– Jestem – odpowiadam odruchowo, a nie dlatego, że w to wierzę.

– Widzisz, co się dzieje, ale wcale nie chcesz tego

naprawdę zobaczyć.

Policzki pieką mnie ze złości.

– Owszem, ponieważ to spieprzyło mi życie!

Audrey uśmiecha się smutno. Zachowuje się bardzo protekcyjnie, jakby chciała powiedzieć, że gdybym lepiej sobie z tym radził, podzieliłaby się ze mną wspaniałymi sekretami ze świata duchów. Może wtedy mógłbym przestać się bać zmarłych. A może bałbym się jeszcze bardziej. Sam nie wiem.

Żałuję, że nie mogę wydostać tamtego chłopca z The Shambles z pętli śmierci, w której jest uwięziony. Zapewne wciągnęłaby mnie samego i zamarzłbym samotnie na zaśnieżonej ulicy. Chcę mu pomóc, ale nie potrafię.

Byłoby lepiej, gdybym nie widział duchów.

Dante mija mnie pędem, znika za żywoplotem, a potem wraca z wywieszonym językiem. Obracam się. Heather wciąż stoi w tym samym miejscu i przygryza wargę.

– W porządku? – pytam, żeby cokolwiek powiedzieć, zażenowany swoim wybuchem. Kiedy obracam się w stronę Audrey, podjazd jest pusty.

Ona zawsze łamie zasadę numer trzy.

– Audrey się tym zajmie, Charlie. Spróbuj się przespać.
– Heather posyła mi rozczarowany półuśmiech i odchodzi.

Wołam „dobranoc!”, żałując, że nie została. Czułbym się lepiej, gdyby była blisko, ale wiem, że ma swoje zajęcia.

Po powrocie do domu przygotowuję dla Olliego hamak i wypycham go poduszkami, by oszukać mózg i wmówić sobie, że on tam leży, a nie unosi się w powietrzu. Kiedy wślizguję się pod kołdrę, Dante układa się obok mnie. Szkoda, że

nie jest lepszym stróżem; jeśli zobaczy obcego ducha, może równie dobrze zbudzić mnie szczekaniem, jak i przewrócić się brzuchem do góry, czekając na pieszczoty. Leżę i udaję, że śpię, ale myślami wciąż krążę wokół Woskowanej Kurtki.

Nie sprawiał wrażenia zdesperowanego, tylko zdeterminowanego.

To mnie przeraża.

Odchrząkuję i siadam na łóżku.

– Ollie, nie widziałeś w okolicy żadnych nowych twarzy? Dzisiaj ktoś śledził mnie w mieście. To pewnie nic ważnego, ale... – Moje słowa zawisają w powietrzu jak przynęta.

Ollie łapie się na nią.

– Na wszelki wypadek stanę na straży. Jak wygląda ten duch?

Opisuję kręcone włosy Woskowanej Kurtki, pochylone ramiona i dłonie tkwiące w kieszeniach. Ciekawość Olliego miesza się z moim lękiem i mam wrażenie, że wszystko jest nie tak.

– Obudź mnie, jeśli pojawi się ktoś zmarły, dobrze? Nie tylko on. – Próbuję mówić swobodnym tonem, a Ollie śmieje się i uprzejmie udaje, że nie wyczuwa we mnie strachu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).